

*Odeon*

Przykłada wierzch dłoni do rozpalonego policzka. Znowu udało się wydrzeć piątek z tygodnia. Najlepsze jest to uczucie, kiedy stoi przed wejściem, jeszcze nic nie zdążyło się wydarzyć, wieczór oddycha, pulsuje za drzwiami, nietknięty, niespróbowany. Chce zatrzymać czas, utknąć w oczekiwaniu. W końcu popycha masywne drzwi. Ma jakieś cztery godziny, nim będzie musiała wracać do domu.

Przystaje na co drugim schodku okazałych schodów. Ogląda plakaty filmowe, znowu, jakby tu przyszła pierwszy raz w życiu, a przecież była tu już tyle razy, że pierwszego nawet nie pamięta. Każdy milimetr sukni Scarlett O'Hary omdlałej w ramionach Rhetta Butlera, każdą kroplę deszczu na Skazanym na Shawshank. Czuje mocne szarpnięcie za ramię: „Głupia, czemu jeszcze nie stoisz w kolejce? W życiu tych biletów nie kupimy. Ale dzisiaj tłoczno, no naprawdę. Co to jest ten Sok z żuka? Brzmi obrzydliwie”. To Zośka chwytą ją teraz za rękę i ciągnie po krętych schodach jak szmacianą lalkę.

Sok z żuka smakuje doskonale. Dokładnie tak samo dobrze jak w zeszły wtorek, kiedy powiedziała Zośce, że zaraz wróci, że tylko coś sprawdzi na parterze przy szatni, nic takiego, naprawdę, drobnostka, chyba widziała ogłoszenie, konkurs recytatorski, tak jej się wydaje, może się zapisze, tak, wie, że dzisiaj nie można uciekać, bo jest sprawdzian z fizyki, niech jej zajmie dobre miejsce obok siebie, tylko nie w pierwszym rzędzie. Ale Sok z żuka to tylko przystawka do głównego dania. Kiedy seans się kończy, jednym susem dopadają sekretne miejsce pod sceną. Teraz trzeba się tylko dobrze schować w fałdach czerwonej kurtyny, nie wydawać żadnych dźwięków, a za chwilę będą oglądać kolejny film, taki film, na który potrzeba bardzo dużo pieczętek w szkolnej legitymacji. Zasłaniają usta rękami, ale chichot i tak wyrywa się przez palce.

Udało się bezpiecznie przeczekać, ukryć przed surowym spojrzeniem dorosłych – sala zapelnia się nowoprzybyłymi widzami. Wykorzystując zamieszanie, wyskakują z ukrycia i przemykają na wolne siedzenia w najciemniejszym kącie. Nikt tutaj, poza nimi dwiema, nie wie, jakie to uczenie śmiać się do rozpuku na tych twardych, drewnianych fotelach, kiedy się nikogo nie zapytało o pozwolenie. Że się może wszystko. „Słuchaj, kochaniutka” - zaczyna Zośka, gdy wreszcie udaje jej się opanować śmiech - „w przyszły piątek jest koncert w Radoskórze i tak sobie myślę, że skoro udało się dzisiaj z filmem, to za tydzień i tam nas wpuszczą i tak po prostu sobie wejdziemy, jak gdyby nigdy nic, tak pewnie siebie, że nikomu nawet nie przejdzie przez myśl, żeby zapytać nas o wiek”. To zupełnie co innego, zbywa ją machnięciem ręki. Zośka markotnieje: „Ale za tydzień tutaj nie przychodzę, żebyś wiedziała. Znowu będą te same filmy, a ja już mam dosyć wciąż tego samego. Moje życie to prawdziwy spiszek nudziarzy. Jakby wszystko co ekscytujące wydarzało się komuś innemu. Słyszałaś, co opowiadała moja siostra, słyszałaś, prawda? Ona w naszym wieku przeżyła więcej niż my chyba przeżyjemy kiedykolwiek. Przecież te nasze hece dziś to nic, zupełnie, szczeniacka igraszka, nawet nie warto jej tym zwracać głowy. Myślisz, że warto?”

Najbardziej lubi, gdy gasną światła. Naraz wszystko znika i przez chwilę, która jest po części straszna, a po części piękna, wydaje się, że umarła, że tak to się nagle wszystko kończy, i odrobine kręci jej się w głowie, a serce bije tak cicho, jakby już go wcale nie było. Aż nagle to jedno zimne lśnienie o kształcie wielkiej bryły zwraca jej życie, ale życie zupełnie inne, bo przez następne dwie godziny, nim znów zgaśnie światło, będzie zupełnie kimś innym. Jest w Niebezpiecznym Związku, chociaż w poprzednim wcieleniu była za młoda, żeby wiedzieć, co to miłość. A teraz jest Panią de Tourvel, piękną, zwiewną, oszukaną.

Wracają do domu. Idą tak, żeby nie nadepnąć na linię dzielące płyty chodnikowe. Zawsze się dziwi, czemu to sprawia taką radość, kiedy stopa ląduje idealnie pośrodku. Są już na Plantach, kiedy Zośka zwalnia, głośno wzdycha, rozgląda się i coraz przystaje, żeby dotknąć liści na drzewie – to znak, że właśnie wpada w sentymentalny nastrój. „Pamiętasz, jak na polskim Kwiatkowska cię pytała, czy mieszkasz na Jaracza, czy przy Jaracza i ty powiedziałaś, że na, a ona wtedy, że w takim razie musi porozmawiać z twoimi rodzicami, bo mieszkasz na ulicy? Rozumiesz, że to już dwa miesiące minęły od tego polskiego? Patrz, jak ten czas leci. Myślisz, że będzie tak leciał, aż się zestarzejemy, czy zatrzyma się może za jakiś czas, jak będziemy mieć, powiedzmy, dwadzieścia lat?” Nie wiedziała, ale na wspomnienie ulicy Jaracza zrobiło jej się przykro. Tam miała swój własny pokój, białe frezowane biurko, szafkę na drobiazgi i widok na osiedle z dużego okna. Od kiedy tata stracił pracę w fabryce, musieli przeprowadzić się do dziadków, na Wałową. Na Wałowej pokój dzieli z bratem, a dziadek z babcia rzadko wychodzą z domu i nie ma gdzie się schować przed światem. Może tak bardzo lubi chodzić do kina, bo tylko tam ma trochę spokoju, kawałek kryjówki, święte prawo do niemówienia. Uśmiecha się do Zośki, jak gdyby powiedziała to na głos.

„Pomyśl o tym koncercie, w Radoskórze” - rzuca na odchodne Zośka. Kiwa głową, chociaż wie, że wcale nie pomyśli. Niedbale ściskają się na pożegnanie. Szkoda, że to już koniec piątku, wymyka jej się zupełnie nieproszone. Zośka prychnęła rozbawiona: „Jutro przecież idziecie na lody z rodzicami, całkiem nie najgorzej zapowiada się sobota”. Znowu kiwa głową, znów bez przekonania. Zośka odchodzi w blask zachodzącego słońca i wygląda całkiem jak postać filmowa. Brakuje jej tylko napisów końcowych.

Notka o autorce:

Ewa Hatała. Pochodzi z Lublina, obecnie mieszka w Gdańsku. Z dzieciństwa pamięta cebularze i muzykę Bajmu. Z wykształcenia filolog romański. Pracuje w korporacji. Na ten rok zaplanowana jest publikacja jej debiutanckiej książki. Pasjonuje się literaturą amerykańską i iberoamerykańską.